

Kamila Besz

I nagroda w konkursie literackim „Racibórz prozą zaczarowany”

Matylda w Raciborzu

Kilka obrazków z życia w obcym mieście

W tym opowiadaniu fantazja miesza się z rzeczywistością i już sama autorka nie wie, co fikcją jest, a co prawdą, na ile bohaterka jest autorką, autorka bohaterką i czy w ogóle nie napisał tego ktoś inny. Podobieństwo osób i miejsc występujących w tekście do osób i miejsc występujących lub już nie występujących w rzeczywistości nie jest przypadkowe, bo nic w życiu nie dzieje się przez przypadek.

Nie przez przypadek również w wielu miejscach nie ma tu przecinków.

I

*Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego,
dowcip kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do rozpustnego dzieworódtwa*

(Bruno Schulz)

Matylda ma 28 lat, biegnie ulicą Klasztorną i na jej końcu z zapartym tchem, bijącym sercem i rozpalonymi policzkami skręca w prawo. Jej oczy migocą feerią radosnych barw. Skręca w pierwszą klatkę w bloku należącym do spółdzielni mieszkaniowej „N.” i wbiega na czwarte piętro. Nie zatrzymując się ani na chwilę, dopada drzwi, naciska klamkę, otwierając je impetem, wbiega do mieszkania. Uspokaja oddech, uśmiecha się. Matylda biegła do mężczyzny, więc chciała być jak najszybciej. Mężczyzna nieco zdziwiony unosi brwi. Jest, czyta gazetę.

Mieszkanie jest małe, po lewej od drzwi łazienka, której całą przestrzeń wypełnia ogromna wanna z hydromasażem, który nie działa; po prawej kuchenka, aneks właściwie, mała lodówka, szafka, zmywak, blat; na wprost jasny pokój, który lśni czystością. Mężczyzna lubi porządek doskonały. Mężczyzna lubi wszystko, co jest doskonałe. Matylda nie czuje się pewnie, bo nigdy nie uważała, że spełnia wszystkie standardy, ale uśmiecha się. Mężczyzna

wstaje. Ma na sobie spodnie dresowe, jego tors jest nagi, szczupły, lecz nie wątlý; palce ma długie i delikatne, uśmiech szelmowski. Mężczyzna ma figlarne ciemne oczy i urzekające Matyldę czarne, krótkie włosy. Podchodzi do niej, a jej nogi drżą, nie wie, czy z szaleńczego pędu ulicami miasta, w górę po schodach, czy dlatego, że jest tu, już z nim tak blisko, już nareszcie. Cześć, mówi, jestem. Cześć, mówi on, no w końcu. Chodź tu. Mężczyzna uśmiecha się, gładzi jej włosy policzek, w tle słycać Dire Straits. Matylda chce z gracją zdjąć buty. Traci równowagę i pobłażliwy śmiech mężczyzny odprowadza ją, gdy odwraca się plecami. Pół metra do łazienki, mniej niż pół do kuchni, Zdradziła się, nie jest doskonała. Nie chcąc skazywać spotkania na porażkę, nie chcąc pokazać rumieńca, który może zdradzić jej zakłopotanie, kieruje poplątane kroki do łazienki, wypełnia wodą trójkątną wannę, rozbiera się, zanurza w gorącej toni. Bierze głęboki wdech i zamyka oczy. Para unosi się w powietrzu, osiada na kafelkach, zapach egzotycznego olejku wypełnia nozdrza, rozluźnia ciało. Siedząc z zamkniętymi oczami Matylda słyszy, że mężczyzna wchodzi do łazienki, czuje, jak delikatnie całuje ją w szyję. Jego ręka spływa po jej udzie, loki drażnią powieki. Matylda rozchyła drobne usta, podnosi rzęsy, ocierając nimi o policzek mężczyzny. Czuje się bezpiecznie. Para skrapla się strugami wody na żółtych kaflach wokół. Bardzo dużo pary, myśli ostatkiem sił dziewczyna.

II

W sobotnie popołudnia wychodziłem z matką na spacer. Z półmroku sieni wstępowało się od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechodnie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone od żaru, jakby zalapione miodem, a podciągnięta górna warga odstaniała im dziąsła i zęby.

(Bruno Schulz)

To był jej miasteczko R., intymne, z półprzymkniętą powieką, kroplami potu na skórze, rumieńcami na policzkach, przyśpieszonym oddechem, euforią pulsującą w żyłach, w ciepłe drugiego ciała. Ale Matylda tak naprawdę nie była stąd. Z Raciborza. Była obca. Zza granicy. Do tej granicy z miasta zaczarowanego wspomnieniami i teraźniejszością, teatrem który ją uwiódł, mężczyzną, który ją uwiódł i pracą, która nie tyle ją uwiodła, co pozwalała zapłacić rachunki, było 18 kilometrów z jej rodzinnej miejscowości. Na południe albo na wschód, albo na południowy wschód tudzież wschodnie południe? Z tych kierunków nigdy nie była najlepsza, choć przemierzała tę trasę regularnie samochodem przez 4 lata 2 razy dziennie, siódma, szesnasta. Z pracy wracała do anioła, który miał ponad osiemdziesiąt pięć,

osiemdziesiąt sześć, z każdym rokiem coraz więcej jeszcze lat. I kiedy rozdzieliła je śmierć anioła, na zawsze wyjechała z bezpiecznego świata do świata już oswojonego, ale nie do końca jej. Przyjechała zza granicy. Nie знаła języka i mimo jej niezwyklej zdolności do przyswajania języków wszelakich: francuskiego, rosyjskiego, hiszpańskiego, czeskiego, a nawet słowackiego, o czym przekonała się niezwykle zaskoczona kiedyś, gdy o drugiej w nocy siedziała z muzykami pochodzącymi z tego kraju w jednym z raciborskich barów, niedaleko kina Bałtyk, tego tutejszego opanować nie mogła. Nieobce jej były tajniki i wywodzącego się z rodziny języków germańskich angielskiego, jednak mowy, jaka tu wyłaniała się przy sklepowych kasach, na parkingach, we foyer odnowionego centrum kultury, nie rozumiała i nie wyuczyła się nigdy. Z wrodzoną tolerancją lub może ignorancją nie reagowała, gdy nazywano ją hadziajem. Tata jej mówił, że ma być ponad to. Była.

Miasto było oswojone i nadal oswajane. Miała tu dużo domów. Pierwszym był stary erdek, Raciborski Dom Kultury, gdzie przymierzała się do roli aktorki. Kino Przemko, w którym na starych, skrzypiących fotelach oglądała „Angelusa”, rozmawiała z Lechem Majewskim, piła kawę na wieczorach poetyckich i zszokowana poznawała twórczość Lyncha. Piękne podwórko za domem kultury. Tu grała w spektaklach i tu podpałała papierosy, gdy nikt nie widział i pogadywała z panią Magdą, niekwestionowaną królową i władczynią tego obiektu, która z gracją otwierała wszystkie drzwi i znała wszystkie tajemnice. Obok erdeku stoi muzeum, po którym wspina się bluszcz, a słońce popołudniami grało swój spektakl a każdym razem inny, za każdym urzekający. Potem erdek połączył się ze „Strzechą” stając się Raciborskim Centrum Kultury. Pod strzechą „Strzechy” Matylda doskonaliła swój warsztat, spełniała się na scenie, poznała pana Andrzeja, stróża tego dobytku i z nim w przyległym amfiteatrze prowadziła długie rozmowy o życiu, polityce i dziadku. Właściwie tylko o życiu i dziadku. O polityce mówił pan Andrzej, a ona słuchała, bo niewiele rozumiała. Ale nie chciała się przyznać.

Drugi dom z zapachem kawy gotowanej wg pięciu przemian, kadzideł z Tajwanu i bujnymi ziołami, które królują na parapecie, z bombonierką z Białorusi – którą gospodyni otrzymała jak największą świętość od kobiet żyjących w kołchozach oraz pochowanymi w szafach i szafeczkach suszonymi: szałwią, nagietkiem, mietą, jabłkami i gruszkami, znajdował się na Warszawskiej. To tutaj, na balkonie pełnym kwiatów prowadziła rozmowy o życiu, miłości, śmierci, paznokciach, o mężczyznach, muzyce i sztuce oraz o tym, jak efektywnie robić przysiady. Tutaj ćwiczyła jogę, Psy z głową w górę i w dół, hałasany, utanasany. Gospodyni była piękna, filigranowa. Z czarodziejką – gospodynią wrzucała do pieca kartki z wypisanymi marzeniami, błogosławiąc je w myślach i ściskając w dłoni tuż przed

wrzuceniem tak mocno, że papier rozpływał się pod wpływem potu lub rozdzierał się od tarcia, by za chwilę strawił go ogień i z dymem wysłał marzenie w górę do nieba. Na indyjskiej komodzie zdjęcia rodzinne, chociaż nie jej, scenariusze, lista zakupów. Schody na strych do sypialni, wypełnionej zapachem lawendy i cytrusów. Skąd ten zapach, zastanawia się zawsze Matylda.

III

Pokój był ciemny i aksamitny od granatowych obić ze złotym deseniem, lecz echo dnia płomiennego drgało i tutaj jeszcze mosiądzem na ramach obrazów, na klamkach i listwach złotych, choć przepuszczone przez gęstą zieleń ogrodu.

(Bruno Schulz)

Kolejny dom Matyldy znajdował się na wysokości Raciborskiego Centrum Kardiologicznego. Królestwo starych mebli, w którym pokorne, spracowane ręce dawały nowe życie szafom stołom komodom biurkom szufladom ramom szkatułkom lustrom, zachwyciło ją już dawno, jeszcze zanim zapachy tego wnętrza wypełniły jej nozdrza, zanim ciepło i aromat parzonej tu orzechowej kawy rozeszły się po jej ciele. Najpierw jednak przeżyła niezapomniane chwile w klinice leczącej chore, ale bardzo potrzebne organy.

W centrum kardiologicznym swego czasu Matylda za rękę trzymała babcię, której zepsuło się serce. Serce Matyldy również zaczęło wówczas pękać, ale było znacznie młodsze niż przedwojenne, pełne miłości i trosk serce anioła, który wziął ją pod swoje skrzydła, gdy nie wiedziała dokąd iść. W centrum kardiologicznym było ładnie i czysto, pielęgniarki były uprzejme, a lekarze wymieniali uważnie spojrzenia i mówili do siebie szeptem. Kiedy już Matylda zatrzymała proces pęknięcia swojego serca i skupiła się na trzymaniu babci za rękę, a lekarze sprowadzili swoją rolę do dyskretnych i zrytmizowanych wizyt polegających na monitorowaniu kolorowych ślaczków na monitorze i przynoszeniu maleńkich tabletek, podstępny mechanizm sterujący ciałem starej kobiety znowu spletał figła i zablokował tętnicę kręzkową. Matylda pamięta tylko grymas bólu na twarzy babci, pęd szpitalnym korytarzem, płataninę i konsternację ludzi w kitlach, swój strach, jej krzyk i gorące modlitwy. Modlitwy dotarły do samego nieba, co potwierdził lekarz, oznajmując wyczerpanej Matyldzie po 24 godzinach, że kryzys minął, zator się rozpuścił, a zbuntowane ciało spokorniało wobec potęgi kroplówek i Boga. Kiedy Matylda zobaczyła ciemnofioletowe ślady na rękach, nogach i brzuchu swojej ukochanej Babcie oraz pełen bólu cień uśmiechu na zmęczonej, poźółkłej

twarzy rozplynęła się w miłości i mimo, że doświadczyła tu największego strachu, jakiego człowiek może doświadczyć (a przynajmniej jakiego mogła doświadczyć Matylda), szlachetnie cząstką ożywczej miłości pobłogosławiła to miejsce, które na trwale już odcisnęło się na mapie jej życia.

A potem Matylda zaprzyjaźniła się z dziewczyną z tajemniczego domu, przed którym latem płożyła się lawenda, na którego dachu sterczało białe, ogromne krzesło. Gdy wchodzi do tego domu, wita ją zapach kwiatów, duszonych grzybów, wielki kosz jabłek z ogrodu, pędzle, sztalugi, narzędzia pałętające się po podłogach, stołach, kredensach, między materiałami, włóczkami, ramami czekającymi na wnętrze. – Odrapałeś nogi Węgrowskiej? Wyjąłeś babcię z pieca? – takie pytania były tu na porządku dziennym. Za pierwszym razem chciała uciekać zszokowana. Zatrzymali ją. - Chodzi o meble – takie wyjaśnienie musiało jej wystarczyć. Orzechowa kawa, szarlotka, która dzisiaj wyszła zakalcowata, ale mimo to jest przepyszna. Puls Matyldy wraca do normy.

IV

*Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu,
porastało na krawędziach liszajem cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.*

(Bruno Schulz)

Kiedy serce Matyldy wypełniał bunt, zapuszczała się wieczorami w niepewne rewiry miasta. Opuszczała centrum z dostojnymi kamienicami, dumnie prężącymi pierś pomnikami, odrestaurowanym zamkiem przy wartkiej rzece, nowoczesną fontanną, przy której wypoczywały starsze eleganckie panie i przystojni panowie, matki z dziećmi, kobiety wracające z zakupów, drobni pijaczkowie. Wiezorami odkrywała miasto, niepoczęte ze światła. Racibórz podskórny z chłopakami z dzielni. Miejsca przesiąknięte mroczną atmosferą, ludźmi, dla których czarne jest czarne, białe jest białe, gdzie słowo ma moc i wartość, a sprawiedliwość wymierza spojrzenie i pięść, gdzie słowo uderza z siłą pocisku, a szyderczy śmiech może zmiażdżyć pewność na zawsze. Jesteś czysty, albo dostajesz w mordę. To nie miejsce dla popierdółek, mówią chłopaki. Fałsz i lizusostwo wyczuwają od razu. Zaakceptują cię, albo znikasz gdzie pieprz rośnie. Tu się zawsze dzieje. Przechadzała się z brudną przyjemnością po mieście, które w czasie nieplanowanej wędrówki nocnej otwiera się bajecznie, intensywnie. W małych, niepozornych knajpkach kipi testosteron,

chłopaki w drogich dresach lub eleganckich koszulach grają na automatach, trwoniąc pieniądze, pijąc wódkę i paląc papierosy. Mężczyźni w niebieskich roboczych ubraniach z fabryki okien wracają ze swojej zmiany, piją piwo. Kobiety są piękne, często prowokujące, szczupłe, seksowne i długowłose. Nierzadko mają 25 lat i dwójkę dzieci, a mimo to ich ciała są doskonałe, wyglądają jak lalki z amerykańskich teledysków ciemnoskórych muzyków. Miasto tętni tu hip-hopem. Matylda idzie dalej, powracają duchy przeszłości, ktoś zasypia po winie koło Jeruzalem... słyszy rozmowy zmarłych. Ale w nocnej malignie widzi istotę rzeczywistości raciborskiej. Niezrealizowane ambicje, brak czułości, kompleksy, ale to ma być wszystko po Chagallowsku przewyciężone. Przepraszam, ma pani papierosa, słyszy zachrypnięty głos nieogolonego mężczyzny o smutnych oczach, w brudnych ubraniach. Dla takiego człowieka Matylda zawsze ma papierosa.

V

Ranki były podówczas dziwnie cierpkie i orzeźwiające. Po uspokojonym i chłodniejszym tempie czasu, po nowym całkiem zapachu powietrza, po odmiennej konsystencji światła poznać było, że weszło się w inną serię dni, w nową okolicę Bożego Roku.

(Bruno Schulz)

W czasie największej burzy w sercu Matylda ucieka z miasta do natury. Rowerem pędzi na rozwidlenie Odry, gdzie spokojna toń rzeki pozwala jej wrócić do swojej istoty. Siada na najbardziej wysuniętym w wodę kamienistym brzegu, zanurzając ręce w leniwym nurcie. Paweł zbudował tu zatoczkę, którą nazywa jacuzzi. Ale teraz jest sama, nie licząc dwóch skupionych rybaków, którzy milcząc zarzucają wędki. Wpatrując się w dal, wdycha zapach powietrza, patrzy jak drzewa porastające brzegi zbliżają się do siebie, nigdy się nie łącząc. Nad rzeką Matylda nie jest hadziajem, nie jest studentką, aktorką, pracowniczką, koleżanką, kochanką, obserwatorem. Nie jest nawet Matyldą. Zanika w swoim jestestwie, zamyka oczy, myśl oddala się, serce bije coraz spokojniej z rytmem rzeki. Woda szumi rytmem jej serca. - Cicho, cicho, jest – szepce podekscytowany rybak.